

Odgłosy wojenne: Z Krakowa do Lublina.

I.

Nigdy nie zapomnę wrażeń, jakich doznałem w pierwszych dniach mobilizacji.

W mieście panował jakiś niezwykły ruch, wszyscy biegali, jakby oszołomieni, na wiadomość, że już wojna się rozpoczęła.

W koszarach natomiast życie przedstawiało się zupełnie inaczej — tam cieszą się, że poprowadzą nas na wojnę — przypatrywano się cały czas ostrzeniu bagnatów i szabel.

Żołnierze w kompaniach „fasowali“ z magazynów całkowite umundurowanie. Jedni przymierzali nowe, ładnie skrojone mundury, ciesząc się z ich posiadania, drudzy rozprawiali o swych rodzinach i o żniwach, których dokończyć nie mogli.

— Oj będzie tyz będzie Mosko! umyko!, jak nos zobaczy — mówił Jasiek z pod Łodygowic do Wojtka Rzepki i ubierał się w nowy mundur.

Wszyscy jacyś rozgorączkowani niecierpili się, że jeszcze muszą w koszarach siedzieć, podczas gdy inne pułki dawno wymaszerowały.

Aż wreszcie wybuchła w kompanii niezmierna radość: dowiedzieli się bowiem, że batalion ma wymaszerować do miejscowości N.

Poczęto się gorączkowo ubierać w tornistry, którzy byli gotowi, wychodzili na tak zwany „Sammelplatz“.

Rozległa się szybko jedna komenda po drugiej i batalion stanął uformowany w największym porządku, gotów do wymarszu.

Komendant batalionu przedstawił żołnierzom w krótkich słowach powody, z jakich wojna wybuchła, gorącymi słowami wzywał żołnierzy, by się mężnie stawili przed liczny nieprzyjacielem, a Bóg ześle nam zwycięstwo nad dumnym wrogiem.

Następnie zaś, wedle przepisów wojskowych, przed opuszczeniem koszar zabrzmiał sygnał „Zum Gebet“. Słyszeliśmy go parokrotnie, idąc na większe ćwiczenia, jednakże nigdy nie wywarł na nas tak głębokiego wrażenia, jak wówczas.

Na odgłos trąbki serca wszystkich przejął niezmierny smutek i żal.

Teraz dopiero przejrzeni wszyscy i widzieli jasno, jak na dłoni, że idziemy na dłuższą tułaczkę, znosić niedolę i trudy wojenne, ktoż wie bowiem, czy z niej wróci do swojej rodziny i czy tylko patrzeć będzie oczyma duszy z innego świata na smutek i zmartwienie swych bliskich.

* * *

Rano skoro świt zerwali się wszyscy na równe nogi, ubierając się szybko do wyruszenia. Nogi tak już wszystkich bolały po kilkudniowym marszu, że ledwo je za sobą włożyli, trzeba było jednak przemódz się i pomaszerować dalej.

Początkowo w chłodzie rannym szło się jeszcze jako tako, kompanie maszerujące jedna za drugą śpiewały kolejno różne pieśni, chcąc przynajmniej choć na chwilę zapomnieć o troskach i zmartwieniach, jakich każdy miał pełno w sercu.

Wchodząc do wsi, prawie przed każdym domem spotykaliśmy gospodynie rozdające chleb, masło, jajka, mleko, a nawet śmietanę. Niektórzy tak się w czasie drogi rozgrymasili, że nie chcieli pić wody, jaką ofiarowali biedniejsi ludzie.

— Ty Staszek — mówił Antek z Krowodrzy — widziałeś ty, częstują nas wodą a piwa to nie dadzą, podliwają nas tą wodą, jako te kwiatki w wazonkach. W Krakowie było lepi, tam to człek wiedział, że jest u swoich, a nie jak tutaj między tymi mamaligami.

Nie spodziewali się, że przyjdą czasy, kiedy i wody braknie i trzeba będzie z pustym żołądkiem tak dobrze maszerować, jak teraz.

Szliśmy przeważnie okolicą piaszczystą, która nie posiadała dobrych dróg. Maszerując w kurzu po kostki, wznicaliśmy całe tumany pyłu przed sobą, którym trzeba było oddychać, a kiedy nadeszło południe, słońce tak niemiłosiernie prażyło, że z każdego spływały wprost strumienie wody, pomieszane z pyłem i brudem.

Boże, mój Boże, jakeśmy wówczas wyglądali! Nie traciłszy jednak mimo wszystko animuszu. Podczas marszu woła w naszej kompanii kapral: „Pastuszki śpiew!“ Słyszając zachęcający głos lubianego kaprała, zaczynają śpiewać po kolei całą wiązaną pieśń. Jedną o „Biednej Anulce, przekrasnej damie“, inną znowu o „Moskalu niedołędzie“. — W takich razach zapomina się o wszystkim, czuje się jedynie ciężar tornistra, postępując w takt śpiewanej pieśni.

Gdy zaś jedna kompania zamilknie, odzywa się

następna z nowym programem, jak na przykład: o „Wesołym Icku, który poszedł na wojnę“.

Pod wieczór, kiedyśmy doszli do swych kwater i wszyscy zostali pomieszczeni, rzuciliśmy się zgłodniałi po „menaż“. Po obiedzie a zarazem i kolacyi udaliśmy się do stodół, gdzie też wkrótce zasnęliśmy snem kamiennym.

W ten sposób odbywały się mniej więcej marsze, zanim przyszło do starcia z nieprzyjacielem.

* * *

Jeszcze nie dniało, gdy nasz batalion wymaszerował z wioski N., kierując się na północny wschód. W szeregach cicho, widziało się jakieś zaszereżenie oblicza wszystkich, zdziwił nas bowiem tak wczesny wymarsz.

Ledwo niebo przetarło się na wschodzie z tej nocnej szarugi, gdyśmy usłyszeli z daleka głuchy grzechot karabinów, przeplatany niskim basem dział. Na horyzoncie zarysował się długi pas lasu, w którego kierunku szliśmy właśnie.

Maszerowaliśmy przez żęte pola, na których jeszcze leżały nie pozbierane snopki zboża, mijamy kilka małych przylasków i dostajemy się wreszcie na ogromną płaszczynę. Oko zatrzymuje się jeno na czerniejącym przed nami borze.

Wiedziałem z góry, że to będzie pierwsza nasza bitwa, w której weźmiemy udział, odgłos bowiem strzałów potęgował coraz bardziej. W kompanii poczęto się żarliwie modlić, każdy przecież się spodziewał, że może za chwilę przyjdzie mu zdać rachunek z całego żywota, chciano przynajmniej choć w części zmazać swe winy.

Byłem zdenerwowany w najwyższym stopniu; myślałem o blizkiej śmierci jak o czemś, co się stać musi — nie czując przed nią żadnej trwogi. Śmierć bowiem na wojnie, jeśli kula dobrze trafi, jest tak lekka jako sen. Myśl jednak o tem, co za boleść i zmartwienie sprawi wiadomość o śmierci moim najbliższym, była wprost przygnębiająca.

Byliśmy może oddaleni od lasu na jakie 1.5 km., gdy dano rozkaz do rozwinięcia się w tyraliery. Szybko zbliżamy się do lasu, który był broniony przez Moskale.

„Gefechtspatrouille“, jakie były wysłane, zajęły stanowisko, ostrzeliwując ukrytego nieprzyjaciela.

Jeszcześmy nie doszli do pozycji, gdy poczęły nam kule bzykać koło uszu jak muchy. Niejeden, nie zbaczywszy nawet nieprzyjaciela, zachwiał się i bijąc gwałtownie rękami powietrze, padał natychmiast na ziemię, układając się do snu wiecznego. Patrząc na nich, można by sądzić, że ich gwałtowny sen zmożył, podcinając im nogi.

W końcu rozłożyliśmy się wszyscy na linii tyralierskiej rozpoczynając gwałtowny ogień. Od strony nieprzyjaciela powstało jakieś zamieszanie trwające krótką chwilę, następnie zaś otworzyli na nas piekielny ogień z karabinów maszynowych. Kule gwiżdżąc przeraźliwie, przelatwały ponad głowami i padały, mało wyrządzając nam szkody.

W ogniu zapominałem o wszystkim, a cała moja uwaga skupiała się na tem, by dobrze wymierzyć i wypalić; i tak w kółko.

Moskale, wypierani gwałtownym ogniem, musieli się cofać przez las; wówczas padło najwięcej naszych oficerów, gdyż ogień był przeważnie na nich koncentrowany. Zdobywając kolejno każdy kawałek lasu natrafiłszy na przeciwnym krańcu na „deckung“ (szańce) obsadzone Moskalami.

Po krótkim gwałtownym ogniu rozległa się donośna komenda „Sturm“. Na to hasło jak z procy wyskoczyliśmy, krzycząc co tylko głosu w piersiach starczyło bojowe: „Hurra! Hurra!“.

Boże! nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy pośród kul szliśmy do szturm. Wszyscy z obliczami rozognionymi, z odwagą w piersiach pędzili naprzód jak wicher...

W ostatnim momencie nieprzyjaciel cofnął się jednak, pozostawiając mnóstwo amunicji i rannych.

* * *

W czasie upalnych dni uszliśmy już z kilkadziesiąt kilometrów, niemogąc dopaść nieprzyjaciela. Wreszcie po t. zw. „Gewaltmarschu“ dopadliśmy go koło miejscowości N. N. Rozpoczęła się bitwa trwająca 3 dni. Rosyjanie obsadzili wzgórza i las, a mając znakomicie porobione szańce i ukrytą artylerię, prażyli nas niemiłosiernym artyleryjskim ogniem. Pierwszy dzień przeszedł dla nas jakoś szczęśliwie pośród pękających szrapneli.

Przez całą noc kopaliśmy szańce mało co odpoczywając, bo każdy chciał mieć jak najprędzej zbroń ochroną.

Od czasu do czasu przerywano ogólnie robotę, chowając się za wykopaną ziemią przed ciekawym rosyjskim reflektorem. Nagle coś około pierwszej w nocy rzuciliśmy łopatki, chwytając za karabiny — rozpoczęła się bowiem na lewym skrzydle piekielna wprost strzelanina. Głuchy grzechot karabinów maszynowych rozlegał się posępnie, tłumiony od czasu do czasu głębokim basem dział, zięjących szrapnelami.

Straszny wprost był widok pękających szrapneli; jasno czerwone chmurki raz wraz rozpryskiwały się na wszystkie strony, raniąc bohaterskich pastuszków z Podhala. Oni to bowiem wykonali śmiały atak na nieprzyjacielskie szańce i krwawo je zdobyli.

Dziwnym zbiegiem okoliczności zebrała się ze mną w szańcach cała paczka kolegów. Bawiliśmy się rozmową, wspominając o czasach, kiedy nikt nie przeczuwał, iż znajdziemy się wszyscy na wojnie. Przez całą noc nie zmrużyliśmy oka, a skoro tylko nastał świt, ruszyliśmy do ataku na wzgórze.

Ogólnego zwycięstwa już się nie doczekałem, bo podczas ataku zostałem zraniony w nogę tak, że nie mógł stanąć.

Obwiązawszy ranę położyłem się na wznak, czekając na jaką patrol sanitarną. Przez ten czas ogień zaczął się wzmacniać, kilkakrotnie bzyknęły mi kule koło uszu, wywołując dreszcze po całym ciele. Wtem pada za mną szrapnel i przy uderzeniu w ziemię rozpryskuje się na wszystkie strony, raniąc nadchodzące rezerwy. Po chwili w ślad za nim puszczone z całej baterii szrapnele, których przeraźliwy świst krew w żyłach mroził.

Jakoś szczęśliwie przetrwałem ogień, darmo oczekując pomocy, gdy przyszła mi szczęśliwa myśl zbliżyć się choć w części do stacyi opatrunkowej. Podnieść się nie mogłem, by oparty na karabinie jako tako się dowlec. Nie było innego sposobu, jak tylko obrócić się i tyłem, podnosząc się na rękach i odpychając równocześnie lewą nogą, iść pośród padających kul.

Jedyną moją myślą było wtedy dostać się szczęśliwie do szpitala polowego. Po jakimś czasie tej wędrówki dopadłem nadchodzącą patrol, która mnie zabrała na noszach. Szli krajem lasu do wsi, w której znajdowała się stacya opatrunkowa, gdy wtem usłyszeliśmy świst i chichot wstrętnego szrapnela. W takich momentach każdy się rzuca jak najszybciej na ziemię, by choć w części uniknąć niebezpieczeństwa. Tak samo zrobili sanitaci, w pośpiechu rzucili nosze, z których wypadłem na ziemię. Na szczęście szrapnel pękł przed nami.

* * *

Męstwo jednego żołnierza elektryzuje wszystkich jego współtowarzyszów, podniecając ich zapał i wzbudzając chęć do wstawienia się chwalebnym czynem.

Tak samo widocznie udzieliło się to męstwo, dziwnym zaiste sposobem niektórym sanitetom. — Patrząc przez lornetkę na pękające szrapnele, udzielał jeden drugiemu swoich spostrzeżeń:

— Panie! panie! Na Boga, widział pan, jak teraz pękł szrapnel.

— No, nie chciałbym za nic w świecie być w pobliżu niego.

— Czy pan zauważył, jak długo utrzymuje się w powietrzu szara chmurka, powstała z wybuchu?

— Tak, tak, ale z poprzedniego nawet teraz ślady widać.

* * *

— Panie kapral — melduje jeden z sanitariuszy, wskazując przytem na ciężko rannego żołnierza, któremu prawdopodobnie nogę muszą amputować.

— Odwieźcie go na stacyę opatrunkową i zameldujcie doktorowi N., że w tym wypadku potrzebna jest szybka amputacja.